

**Maria Konopnicka**

**Na**  
**normandzkim**  
**brzegu**

Maria Konopnicka

Na normandzkim brzegu

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok  
Konin 2018

Maria Konopnicka  
„Na normandzkim brzegu”

Copyright © by Maria Konopnicka, 1904  
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania  
lub edytowania tego dokumentu, pliku  
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ  
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy  
Projekt okładki: Adam Brychcy  
Drukarz: L. Anczyc i Spółka  
Wydawnictwo: G. Gebethner i Spółka  
Kraków, 1904

ISBN: 978-83-8119-447-1

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.  
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

# CZEŚĆ I. NA NORMANDZKIM BRZEGU

## I. „MADAME LA VIERGE”

Dom rybaka, to dalszy ciąg morza. Przez ścianę szum, w powietrzu sól, za oknem bezmiar modry. Zdaje się, że dość jest drzwi otworzyć, aby przez nie weszło morze i mieszkało z nami.

W sieniach pęki lin, sznurów, podrywek, koszyków; w izbach u sufitów okręciki wiszą, nad kominem muszle i gwiazdźce, w podwórku wywrócone do góry dnem czółno, połamane kotwice, więcierze, zapasowe wiosła...

Wchodzisz i myślisz — dom na ziemi stoi.

A nieprawda!

I on, i byt pokoleń całych, od prapradziadów, co wzniesli te zręby, aż do gospodarzy naszych, wszystko to stoi morzem i na morzu. Życie ludzkie zarzuciło tu kotwicę tak samo, jak ją nieco dalej zarzucają barki i łodzie, i tak jak one kołysze się z falą i na fali. Jego radości i nadzieje, jego klęski i żałoby kołyszą się z niem razem. Coś z płynności żywiołu weszło tu w dusze ludzkie. Każdy przyptyw wypełnia je otuchą i wzmacnia; każdy odpływ zabiera coś z nich i unosi z sobą. Oczy tak samo osychają z łez jak nadbrzeżne piaski, a żagiel wzdęty świeżym tchem morza, pędzi nietylko barwę, ale i krew w żyłach. Palce starej normandki, która w rogu podwórka sieć wiąże, płaczą się

i mdleją kiedy »les sablons« zażółcą się w słońcu; lecz kiedy biegnąca grzbietem morza fala zahuczy, zasyczy u brzegu, wielka iglica sieciarki błyskawicznie miga, a węzły sieci aż warczą, z taką je mocą dociskają stare, stare palce.

Przyptyw i odpływ reguluje tu i zarządza wszelakie sprawy żywota.

W izbie, na głównej ścianie, wisi kalendarz księżycowy, pokazujący na rok cały godziny i minuty »de la haute marais«. Innego tu i nie trzeba nawet.

Kiedy załsnia, zabieleją żagle ku przystani wzdęte, a cała flota barek rybackich z połowu powraca, każdy wie, że to niedziela i że to jest święto. Zaraz więc zaczynają dzwony bić rozgłośnie, jasno, wesoło, a mały duży do kościoła idzie.

Idzie albo do nowego kościoła, albo do starego. Nowy stoi na wzgórzu i nazywa się kościołem »Zwycięstwa«, a to najniepotrzebniej w świecie. Zbudowany bowiem został na pamiątkę wyzwolenia z okrutnego strachu, jaki opanował osadę na wieść, że Niemcy idą.

Jakoż Niemcy istotnie szli, następujący na karki Francuzów ciężką i twardą, bo zwycięzką nogą. Już poprzenoszono na spód barek dobytek, co cenniejszy, w węzełkach i skrzynkach, już pan Mer opasał się trójkolorową wstęgą, by godnie kapitulować, a pani Merowa, przybrana w jedwabną suknię już trzymała chusteczkę u oczu, które według programu zapłakanemi być miały, kiedy nagle Niemcy w Honfleur stanęli i nie poszli dalej tym traktem, zaskoczeni w swych tryumfach zawieszeniem broni. Odjęła tedy pani Merowa chusteczkę od oczu, suknia jedwabna poszła na kołek, a pan Mer, jak stał opasany wstęgą, tak w pełni swej urzędowości uczynił votum, że nad osadą, na

najwidoczniejszym miejscu, stanie kościół pod wezwaniem »Notre Dame de Victoire«. I stanął. Wszakże starzy rybacy i stare rybaczkę tłumnie i ochotnie się cisną do dawnego drewnianego kościółka, w którego absydzie, w sztywnej, złoconej szacie i starodawnym normandzkim kornecie na głowie, stoi od wieków z litościwą, poczerniałą twarzą »Madame la Vierge Marie«.

»Madame la Vierge« zna wszystkie dolegliwości, wszystkie niepokoje i smutki swojej rybaczej osady. Wie gdzie w domostwie choroba, gdzie grzech, gdzie waśń, gdzie bieda. Wie, które ręce nadmiar już zmęczone, które oczy wypłakane, zgasłe. Wie ile dzieci pod dachem się chowa i jak im na nie wołają imieniem. Wie kiedy wróci młody marynarz, ochotnik, za którym patrzy ku brzegom Szkocji dziewczyna. »Madame la Vierge« wie i to nawet, gdzie na dnie morza leży jedyny syn wdowy...

Ona zna wszystkich tych, za których »Dzwon utopionych« co wieczór głucho bije, i tych, których imiona kołyszą się za wiatrem, wypisane na skrzypiących deskach, za cmentarnym murem, gdzie »krzyż zaginionych« stoi.

Więc kiedy się tak w tym dawnym ubogim kościółku lud dokoła Niej ściśnie, każdy ma Ją o coś prosić, pytać, każdy ma Jej coś do powiedzenia. A Ona, z pod swego staroświeckiego korneta patrzy, trochę smutna, a trochę surowa, i słucha, słucha...

Więc jedni mówią do Niej półgłównym, żarliwym szeptem, a inisi westchnieniem dziękczynnym, a jeszcze inni spojrzeniem szeroko otwartych, osłupiałych źrenic.

Ale raz, po mszy, stary jeden rybak wyszedł z tłumu,

przeżegnał się i zaczął włożyć na ołtarz.

Chwyci go zakrystyan za kubrak.

— Gdzie? Po co?

A ów:

— Nic, nic! Ja tylko chcę coś powiedzieć »à Madame la Vierge«.

Tak zakrystyan z pasyą:

— Schodź mi zaraz stary głupcze! Niewolno!

A rybak:

— Co to nie wolno? Ja mam Jej coś ważnego powiedzieć, coś pilnego! Ja muszę Jej coś powiedzieć!

A tuż w tłumie, biorący stronę rybaka pomruk: »Oo!... Ooo!«...

Oparło się o księdza. Wyszedł ksiądz:

— Bój się Boga, człowieku, co wyrabiasz? Przecież ci na ołtarz włożyć nie dam!

A ów:

— Kiedy ja zaraz, Ojczye wielebny, zleżę! Tylko coś powiem Najświętszej, i zleżę!

Więc znów ksiądz:

— Zwaryowałeś, czy co ? Zastanów-że się, człowieku, że to jest wyobrażenie tylko, figura, która, choćbyś nie wiem co gadał, to cię nie usłyszy!

Tak rybak z oburzeniem:

— Co? Najświętsza mnie nie usłyszy?... Mnie?... Najświętsza?... Mój Jegomość?...

I machnął wymownie ręką.



A w tłumie całkiem już groźne:

— Ooo!... Oooo!...

Widzi ksiądz, że nie z tej beczki trzeba, tak rzecze:

— No, więc dobrze! Mnie powiedz, dobry człowieku, co masz do powiedzenia, a ja Jej powtórzę.

A rybak:

— A, nie! Nie mogę! To jest ważna rzecz, to ja jej muszę sam...

Co było robić?

Kazał ksiądz przystawić do ołtarza drabinkę, rybak się na nią wygramolił, przyłożył zwiędłe wargi do ucha Najświętszej, i długą chwilę szeptał, trzęsąc głową siwą.

Zaczem westchnął z głębia, ucałował brzeg sztywnej pozłocistej szaty, grzotnął się w piersi, przeżegnał się, i zlął z drabinki, z rozjaśnioną błogiem światłem twarzą.

## II W OSADZIE

Od sobotniego przyływu morza wieczorem lub nocą, do poniedziałnego przyływu nocą, albo rankiem, w osadzie zostają kobiety same.

Nie sprowadza to jednak wcale bezkrólewia. Sprawy domu, sprawy rodziny, a nadewszystko sprawy pieniężne, są i bez tego zawsze w rękach kobiet. Rybaczka normandzka jest energiczna, zabiegła, roztropna i na grosz chciwa. Dzieci kocha więcej niż męża, pieniądź wszakże u wielu idzie przed wszelkiem kochaniem. Dość spojrzeć na wązkie, zacięte usta normandki,

aby poznać, że jej grosz w ręku piszczy. W domu obywa się z dziećmi byle czem, kartoflami, fasolą z ogródka, a co mąż zarobi, tem oczy przez niedzielę cieszy, a w poniedziałek zanosi do kasy i na rentę składa.

Renta, zbieranie renty, jest największą namiętnością normandki. Poświęca jej ona większą połowę życia, oddanego wszelkiego rodzaju prywacyom i pracy — nieraz ciężkiej.

Wartość mężczyzny, a i wartość małżeńskiego szczęścia, oblicza się oczywiście na zyski z połowu. Nie mówi się tutaj: »mąż mój jest dobry człowiek«, ani: »mąż mnie kocha«, ale się mówi: »Mąż mój zarabia, mąż mój tyle a tyle przynosi«. A jeśli przynosi dużo, wszystkie sąsiadki zazdroszczą takiego męża, jako dobrze rentującego kapitału.

»Zarabia« — to jest nietylko największą pochwałą, ale zasadą miłości i miarą szacunku.

Wie o tem mąż każdy.

Przynosi mało, to się ledwo, biedaczysko wlecze z przystani do domu, bo czuje zawczasu, że go tam nic przyjemnego nie czeka; przynosi dużo, to mu się droga pod podeszwą pali, i na pewniaka »poivradę« węszy.

Jedno wszakże czeka zarówno ich obu: widok żony przybranej niemal że zalotnie, czasem w wielkiej paradzie długich kolczyków i broszki spinającej chusteczkę na czarnym staniku, czasem z ognistym pęczkiem geranium przy gorsie. Im mniej wszakże przynosi mąż z sobą, tem chciwiej wpatruje się w te uroki, wiedząc dobrze, jak są krótkotrwałe. Jakoż gdy się żona nie doliczy w mieszkaniu spodziewanej sumy, kolczyki i broszka jeszcze przed śniadaniem do puzderka idą, geranium wstawia się w wodę, a po śniadaniu, przy którym o »poivradzie«

ani słychu, żona powiada, że ją głowa boli, albo do sąsiadki idzie, albo się do robienia porządków zabiera, przyczem zalotny fartuszek zastąpiony bywa dużą, grubą ścierką.

O popołudniowej niedzielnej czekoladzie nawet mowy niema; a gdy niefortunny małżonek o cydr się dopomni — choć taka odwaga w podobnych razach jest rzadka, — wtedy go dostaje »z tej drugiej«, to znaczy z tej beczki, gdzie się wytłoczyły nalewają wodą, po spłynięciu pierwszego jabłecznego soku.

I co ma biedak wobec tego robić? Oczywiście to, co właściwie robi: popatrzy, popatrzy, trochę smutnie, a trochę bezmyślnie, zaczem zapala fajeczkę na krótkim cybuszku, naciska na uszy bawełnianą czapkę i onieśmielony chyłkiem wynosi się »na schodki«, gdzie nieraz i do wieczora, jak winowajca przesiedzi zgarbiony, ze spuszczoną głową, nie wiedząc ażali mu los oszczędzi zawodów sroższych jeszcze.

Jakże innym jest los męża, który »zarabia«. Żona mu cały dzień po domu kolczykami dzwoni i nietylko nic z uroków swoich nie traci, ale jeszcze raz wraz do lusterka zabiega, przymuskując włosy. »Poivrada« wykręca język wprost na drugą stronę, a cydr »z tej pierwszej« złoci się, rumieni i musuje w szklankach.

Szczęśliwiec, bynajmniej nie na schodkach pali fajkę, ale w izbie, rozwalony za stołem, z nogami na ławie, przyczem mówi dużo, głośno, śmiało, pluje prosto przed siebie, — jest panem. Co to panem! On jest uosobionym dochodem, on jest rentą samą!

Tak przychodzi słodka godzina niedzielnej czekolady, która rozbełtana z wodą i rozmiękłym w niej chlebem, przedstawia jakąś szarą, gęstą, dla oka niewtajemniczonych nieprzyjemną

masę, po której wszakże dzieci oblizują się aż do wieczora na obydwie strony. Zaczem mąż przywdziewa granatową, dzianą z wełny kurtę, takąż czapkę, i wypiękniony, wymuskany aż do kokieteryi, przechadza się z strojną żoną pod rękę po ulicach osady, wesoły, tryumfujący, szczęśliwy, ku większemu pohańbieniu mężów »na schodkach« palących. Że oboje mówią o rencie, tego i dodawać nie trzeba. Tak przychodzi wieczór, dom cały wczesnie się ucisza, a dzieci idą spać na strych.

Ale na giełdzie małżeńskiego szczęścia, wyższym jeszcze walorem niżli mąż, który »zarabia«, jest »mąż asekurowany«.

Rybaczka normandzka nie powierza morzu »swego człowieka« bez ścisłej gwarancyi. Asekurowuje go ona prawie że w dzień ślubu, prawie że w chwili, kiedy się on wraz ze swoją barką i sieciami własnością jej staje, i poza całym przywiązaniem patrzy na niego, jak na przedmiot, który nietylko za życia, ale i po śmierci korzyść jej jeszcze przyniesie.

— Une fois mon mari mort, — je touche mes cinq cents franc — mówi nasza gospodyni z jasnym, pogodnym uśmiechem, jak gdyby mówiła o jakiejś radosnej chwili życia.

Nie znaczy to wcale, żeby »Mère Toutaint« nie kochała »Père Toutaint«. Bynajmniej! Kocha go bardzo. Zawsze jednak błogo pomyśleć, że i śmierć nawet sama zysk jej jakowyś przyniesie.

Prócz żon wszakże i wdów po rybakach, są jeszcze w osadzie matki młodych marynarzy, których morze poniosło daleko.

I te są rentjerkami także.

Jest zwyczaj, że syn marynarz, leguje matce urzędownie część pobieranej na statku zapłaty. Co miesiąc tedy ciągnie do biura marynarki procesya czarno ubranych kobiet, po ten grosz synowski. Czarno, — to nie znaczy żałobnie; to znaczy —

paradnie. Co która z kobiet ma najlepszego, to wyciąga ze skrzyni i na siebie kładzie. Bo w tem jest właśnie cała macierzyńska duma, żeby pokazać, jako nie żadna nędzarka przychodzi po konieczną pomoc, ale że przychodzi matka, po daninę serca i pamięci syna.

Kołyszą się tedy kolczyki, błyszczą wielkie okrągłe brosze, szeleszczą jedwabne fartuchy, a twarze jaśnieją dumnym jakimś szczęściem. Jest to pochód tryumfalny matek. Wychuchały, wychowały, wykarmiły, a teraz — ot pociecha! Jest dwóch synów w rodzie, to jeden marynarz. Ten pierworodny, rzecz prosta. Drugi zostaje rybakiem. Dopiero trzeci chwytą się rzemiosła lub na księdza idzie. A tak morze zabiera lwią część potomstwa, a ziemia — ledwo trzeciznę. Ale są matki, które i po dwóch synach biorą daninę z dalekiego morza. Normandyi bowiem — przepowiadana szerszej francuskiej ojczyźnie — depopulacja nie zdaje się grozić. W tym jędrnym klimacie, i w utęsknionych do siebie małżeństwach rodzi się dzieci dosyć, szczególnie zaś chłopców.

Nasza pani Toutaint jest jedyną siostrą siedmiu braci, śpiących już po większej części na dnie mórz dalekich, a jednocześnie matką siedmiu synów, z których pierworodny jest też marynarzem.

I ona tedy do procesyi należy, jako że »touche cinq francs« od swojego Jacques'a.

Idzie prosta, szczupła, wyniosła. Ma coś rzymskiego w sobie. Jej profil możnaby na medalach bić, z tą czystą antyczną linią wąskiego czoła, lekko zgarbionego nosa, cienkich warg i silnie zaakcentowanej brody. Czarny odświętny strój podnosi jeszcze wyrazistość jej śniadego typu. Wprost z biura marynarki zawróci

do kasy.

Renta rośnie.

## Koniec Wersji Demonstracyjnej

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa  
i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

